

to wiem

dzień bursztynowy mija
rok za rokiem przemija
nielekkie
dłonie poety płoną
aleś korono
daleko

nie spadasz jakoś na czoło
a spadły pierwsze krople burzy
w ogrodach ognia
pomruk wybuchu wróży

jeszcze zaczekam
potem
obalę się jak wszyscy trup
i tak kiedyś zaleje sława ciemnym złotem
grób

sen

ziemio wonna winna i lunna
bita mrokiem nocy szklanej
śpiewem dzwonów dzwonna Burgundia
durzy czarem snów porannych

był ciemny po niwach tupał ulewą
potem bębnił bębnił w napiętą przedmieść pustkę
a wymykał się zwinnie lampom ceniom
wielorocznym drzewom
sypiąc bezdźwięczny pieniądz
szklisty boraks lęku złego łuskę

jeżeli nie podbiegnie do wodotrysku nie
samo mu się nachyla lustrzane dno kwiaciarni
a on obuchem w szybę
gwizdnęły gwiazdy w szkle
uch pękło i to jak w poprzek w głąb i wzdłuż

no teraz jeszcze czarniej
tyle tylko że w zapachu róż
tancerkę skąd znów tancerka wiatrem wysoko nad bruk
tancerka właściwie tancerz ministrant w złotogłowie chłopię
ten ciemny ten dudniący potoczył mu się do stóp
snopem
po obydwu szedł blask bo to był kwadrans rosy
w rosie w blasku ptaki krakały jak podpalony las
nie wstaniesz nie będziesz mógł

złotogłów coraz wyżej słabo jaśniej w górze
i dobrze tak fala półkolami zalewała miasto emalią
piana u klamek i szyb i biały szum na marmurze
będzie gdzie rosnać koralom
gdy firmament od wód oddziela struna
smuga cienia wiotsza niż tego snu konstrukcje

na wysokości świetlany punkt świetlik ministrant frunął
na toni chyba już nic aha płatek nasturcji

ziemia dzwonna głosami dzwonnicy
dźwięki w stuleciach niezmiennie
sny nadranne bory senne
pod brzaskiem przedświt goni

a ja gdzie jestem ja pod siecią promienistą
która pulsuje łagodnie wówczas gdy światło przygasa
leżę na złotej ikonie
na łono przyjął mnie chłodne porfirogeneta chrystus
wielkim znużeniem rubinów opasał
rubiny nieoszlifowane ciekną po dłoniach po skroni
w przepaściach ciszy odrywa się pierwszy kształt
jest to obraz człowieka i snu i słowa wyśpiewanego
dlaczego leżę tu i razem odpływam wzwyż
dlaczego on będzie tam a ja na blachach ikony
w głębinie ciszy
na piersi czy naprawdę na piersi ciemnonośnego

odpływa nowy mój kształt znów jeden znowu znów
tak właśnie banie powietrza płyną z dna stawu pod nów
byłżeby leżąc tak pełen duchów jak spichrz
w niezrozumiałej z nimi żyjąc paraleli
patrzę słucham bledsze się stają blaski powietrze gęszą
rubinowy urasta liść
nie w gąszczu na bandażu bieli

głowa głowa
po nocy słońce na oczach muskało brew
brew ziemi sennej w kołysance drzew
ziemi sennej w drzewach gronnych stupokłonnych

od szkarłatu obłoków tak łunna
szklanym brzękiem cudów podchmurna
w winnibraniach budzi się wonnych

ziemia

kwiecień tych co bez troski

wiosną jasnych oddechów gołębianych słuchaj
w pianie promyków ranek wiosnę wartko wiózł
aż kipiał lazuruowy puchar

bo to radość biegła wzwyż po drzewach
a seledyn młodziutkiej korony owych brzóz
poblask z wisły od dołu rozgrzebał

na wodzie lekki przewiew
grzebieniem jeszcze sennym
falę sycił
promienny

i szyby świecą kwietniowołagodny brzask
w który się niebo wtula bo niebo tam osiada
brzozy na błękit zachodzą
odchwieją się znów przechwieją
raz wraz koleją
raz wraz
każda jest szumu strującego się zieloną balladą
a jak ten bruk uliczny kryształem błyszczący
jakim dudnieniem wtóruje wodogrzmot kół

jeszcze nie wszystko nie wszystko
dzieciaczki po świętach w tornistrze
resztę wiosny przywieziecie z pól

z pamiętnika

już ty nie zejdziesz pewno haneczko na wybrzeże
a lato znów tak jarkie i śmiech mój dobrze znasz
dym szary polatuje nad barką nad wiewiórką
oplata wtedy także oplatał bujny maszt

i lampy tu i echo krokami pustkę zszywa
wyznaję było trwało braliśmy pełną garść
a nikt nie wiedział o tym deszcze biegły po szybach
tygodnie umykały spłoszony głupi chart

nie zejdziesz ani nie wiem kto snu twojego strzeże
lato haneczko śmiech mój z dymem oplata maszt
o fali przemijanie tak barka tak wybrzeże
a liczko miałaś mokre i chłodne to od gwiazd

spod bystro tnącej wodę kiedyś płynęła ręki
pluskało kliny czarne niszczyły wiotką gładź
wybijał odblask lampy srebrne i srebrne sęki
dziecko
po co mnie było brać

nienazwane niejasne

smyczki ze struny na strunę
karabiny z ramienia na ramię
złotej firanki łunę
uśmiech rozpruje
choć tak smutna chorągiew na bramie

choć kowal niósł podkowę w ogorzałej ręce
niósł i grzmiało z głębi kuźni mimo pory wczesnej
a tramwaje śpiewne kryły się czym prędzej
za rogiem ulicy gdzie budynki rzeźni

chmura szła i ciemny dym z komina statku
tutaj na powiślu sam nie wiem co gra
kozę prowadzili w starodrzewiu cień
była pstra

liryczne okno to i naprzeciw matko
matko matko matko uśmiechać się chciej
matko czy zgadujesz co wyrażam nawet
łzy gniewu a nieraz pieką gdy nie zasną

chyba że ty także ulatywać umiesz
słupem wichru wierszem w górę nad warszawę
w to co jak północ niejasne

widzenie

wiatr wieści niósł a magiczna szła noc
między grube kominy elektrowni
ile słońc ile słońc
niepodobnych

miasto było ze złota że jarzyły się jezdnie
blask siarkowy płynął po ścianach
wielki świecie
natchnienie zachwycenie ją weźmie
a ona klęczy milcząca panna

chwila chwalebna żywa
i ani smugi żalu
palce splecione rozrywać
wczoraj dziś nazajutrz

siły mądre musują w żółtym metalu
stronami grzmi spiż
światło pęka olśniewa
myśli astralne lądy
pojęcia kształty widma świątyń
kaukazami się walą

i nagle

krzyż

i nagle

uboga łączka niebo kaczeńce zalewy
dzieciaki w łatanych ubrankach grają w kamienie
jedno takie lniane mówi mam osiem
najmniejsze ujrzało pszczołę
wodzi spojrzeniem

czarnobrewy
serafin zamyka widzenie
pod czołem

panna klęczy jak dawniej w złotym chaosie
w tym mieście i nocą widno

lecz wszechstających się hipostaz
co jest jedyną dźwignią

palce splecione rozrywać
wczoraj dziś nazajutrz
spadnie ciężka pokrywa
raju

ta chwila

ręko smagła otwórz okno dnia z podwórka utocz
i nalało się jak dzbanek soku godzin zimnych
oddech gęstwiny równomierny deszczu tupot
przyśpiew rynnny

to jest w kuchni dom na pradze niedaleko remiz
tramwajami co za czerwień ulice się dławia
a zły odblask bije zorzą po kamieniach
i deszcz i deszcz i deszcz i deszcz i deszcz

oczy patrzcie senna topiel szyby w siwym dreszczu
tęczy szabla kropel magia chmur ciężkie delfiny
upadają na twarz ziemi cieniem wieszczym
srebrnym hymnem
srebrnym hymnem deszcz i deszcz i deszcz i deszcz

toruń

tu tyle lip gubiących kwiat
taki zapachów odmęt
wieże w księżycu srebrne pochodnie
na kościołach podobnych do tratw

odpływa miasto pod niebem z ciemnego szkła
popychają je strzały na czarnych tarczach zegarów

cisza i mgła
i obłok także płynący do nocnych jarów

falują gotyckich okien szramy
które odbłysek na kratkach rozgwieżdżą
suną ceglane mury bramy
jedna schyliła się nawet jak maszt
w bramach wisła na przestrzał

brzeszczot to srebrem chłodny

rzuciła go po ciepłym dniu
otarłszy ostrze o zmierzch i o ruń
rzuciła go wiosenna noc pogodna
sobie do nóg
pod toruń

synteza

złota kobieta stoi w jeziorze po pas
jest bardzo wielka mało i niewysłowiona
mówi rzeczy są obce powiędły dźwięki nazw
a wy nie chcecie wiedzieć dlaczego
więc puste są ramiona
jedyne
nie ma was

ejże w zgiełku jak co dzień fruwały pawiki
grały szyby w inspektach brama gołębniki
grzmot majowy grzywami ognistymi trząśł
pod bory chmurne dziwy lał się jeziora brąz
brąz bo to zachód zachód wiosenny
wiosenny u wioseł u wioseł zgrzebny
fal przyplływ łuskę rzuca na piach
rybitwa obłok lotem pieści
to dobry znak
znak pieśni

złota kobieta mówi chwytając ptaka w garść
powstanie płomień ścianą a kiedy będzie marł
złączy się to co miałkie złączy się to co duże
ja sama wichrem uderzę w gasnący ziemi żużel
poznajcie wreszcie mali w raketach wonnych światła
prawdziwe jest co głoszę od trzystu tysięcy lat
między niebem i ziemią jedno jest tylko głowa
człowieczy kwiat

w boju

przez mokre oka sieci horyzont
padało są chmury i obłoki szrapneli
po ulewie dzień świeci ryżo
burzy podjudza zblakłą zieleń

młodziku a tobie żal że wsparty o koło jaszczka
chorąży zamknął powieki
książka o to jest złote widmo zbłąkanym w bitwie u rzeki
każdy ją strzał zaprzepaszcza

młodziku widzisz bój ale tak jakoś płasko
strzelają broczą biegną krzyczą
pocisków ptactwo
nad okolicą
w grzmocie bliskiej baterii opada za liściem liść
na hełmy na niski okop
kto piosnki nuci po cichu odgania o śmierci myśl
to ważne gdy spotka się ją oko w oko

nie myśleć jezu nie myśleć
a dobrze to utonie
w przypominaniu wizyj które się nie wyśniły

pierwsza pod białym portykiem pałacu pałac płonie
dziewczęta w nimbach zarzynają łabędzia srebrem piły

druga skrzypce świergocą ze strun czterech do słońca
wysnuwa się jasność w nitkach samogłos je potraça

muzyka parzy pod sercem jak kula

w trzeciej wizji mocarze stanęli na planetach
stanęli globy w krzepkie ujęli ręce
rzucił planetą on zamierzyła się i kobieta
przez chmurę
otchłań pociskiem spruła

spłosz wizje wypłyn z tej przędzy
uważaj odstrzał przelot granat uderza tuż
i oddudniło w gruncie i ziemia nagle w górę
płomienie klaszczą w powietrzu pionowymi deskami z róż

i już nic więcej

o świerszczach

paście się paście w chrzęście połonin
włóczęgi świerszcze śpiewacze
chmura za chmurą góra za górą
za górą goni
zwiastuje rzeczy podwójny urok
tak nie inaczej

deszcz w seledynach drobno zacina
po niedalekim stoku
szopa zwalona zgniłe ma krokwie
o słońce z malin oświeć ją okwieć
łuną dwoistych uroków

z tamtego deszczu jeszcze w potoku
pianą przepływa sam szum
a cieniów szprychy za drzewami
wieczór nierychły
wiozą tu po ziół zamszu

maleństwa świerszcze chwila upalna
upalna ale jak ciało
wieźcie ją w śpiewie po gniewnym niebie
pieśń kto wie może czasem uwalnia
jedyność a tej tak mało

nuta na dzwony

cyganka dzwon spódnicy
dzwon cyganka smagły przegub
śniadolicy
rozkwit południowych brzegów

choinek dzwony wzdłuż toru
o wagon biją jak puls
złotolicego wieczoru
wyglądam na rozłogach pól

pagórki wonne pagórki dzwonne
po widnokregach lubią się włączyć
przystają tu i tam pokłonem
leżącym wiolinowym kluczem

dlaczego dzwonem są te siwe oczy
w księżycu wypełzłe
dlaczego broczy
płomień bolesny
na baranków babioletnią wełnę

o dzwony dzwony dzwon monotony
wszędzie jesteś dzwonie rzeczy i zdań
dysonansem cienia natchniony
stań

bo cygankę dzwon spódnicy w choinach
bo pagórki wieczorem śniade oczu siwy staw
sen w mieście przypomina

ale naprawdę czas już wstać
płynąć po falach pracach godzinach
wplaw

wiersz o śmierci

przez lazurowe płomyki fosforu
brzęk pobrzęk blach
brzeg czarnej wody trzcina porósł
czarną czarną jak ptak

kurzy się step mgieł siność
księżyc znowu księżyc stoi

wieńczony nie pomagaj słabym
szarymi skrzydłami trzepocze ich szept
płaczą ze słabości swojej
a to mąci świat jak wino

step siność stoi

na ziemi w miastach na mostach drogach
tłumy tłumy z okien bram drzwi
uciekają od siebie samych tłoczą się trwoga
brzęk pobrzęk blach drwi

wieńczony nam inaczej za wodą za wody szkliwem
ciche mignęły widziadła lecz księżyc obrócił je wniwecz
siwy tu zapach ziół wonny przetacza się namuł
pod falą która do trzciny szepcze to samo to samo

opodal kobiety niemłode łowią półmroku miąższ
dłońmi utkwione w gąszcz w niebieskich światłach gąszcz
za śladem stapa chłopak smukły jak kąkol
niczyich oczu nie wabi łąka ta boża łąka

powieki zamknięte spokoju przydają twarzom
wieńczony oni nie widzą nie wiedzą nie marzą

a tutaj miłe dzieciątko piasek zsypuje do naczyń
rączkami wdzięcznie przebiera i także nie wie nie patrzy
młodzieńcy idą a śpią sandał ich rosę otrąca
ramiona pod chmury wznoszą omdlałe pewno od bitwy
sen je dymem zasnuwa tu nie ma nie było słońca
skądże przylecą modlitwy

pochyl się dziewczę w welonie i róż girlandzie białej
bo całun to piana welonu kwiat śmierci ślubu całun
a ci stojący obok zwróceni ku pustce nieba
czy też naprawdę są razem na wonią duszących stepach

o ludzie ludzie w trawach ludzie nad wodą czarną
jeden was urok ogarnął jeden nas urok ogarnął
starcy chłopięta matki ja i dzieciątko dziewice
wieńczony

to samo to samo to samo
pod księżycem

od dnia do dna

twarze płaszczyzny ścian słońce bredzi i brodzi
miałkim upałem południa sypie się w świat codzienny
twarze nie twarze złote w powietrzu gemmy
zarysy domów drżą gorąco myślę czas ruin
żałuzje stopy czekają wieczornych godzin

ulicą ta nachyla się jak zmęczony nieboskłon
zstępowały młode jawory
stoją teraz puszyste kociątko kryje się za pnie
zabawa doprawdy jaworowe wojsko

a zabawa to tak wiatraki wód senność krzyże na runi
raczej trzcina kołysanka tam jawory w owsach
tam są ogłuchłe wsie
w pyle przydrożnych manowców
lepi się atmosfera patoka słodka
nie dzwonią żelazne koła nie było klaskania podków

ulicą zjawiska prostokątne wznoszą się okna
pomnożone przez wielość pięter
w oknach podwodne wnętrza niebieskich świateł rakiety
w innych szyba jest płatem ognia

ogni ogni świętych

żeby żar nagle zmiął to w garściach
batem ceglastym goniąc kopuły chmury bzy ptaki
potwory wodne
w dnia nienawistnych przepaściach
mokrymi cetnarami po oknach zanadto spokojnych

nawałnicami chichotu w zmyślone kołysanki
bić bić bić wspomniane wiatraki

ach burzo bez pamięci błyskawic grzebienie w dół i wszere
burzo chwały okrzyki z chaosu który się zbudził
daj piorun daj ciemność daj żywiołom wojnę

żywiołom tyle mnie płomienny przepych
bo kiedy kotek jawory cisza ulic i szyb
duszą uściskiem zapachów
lusterko rozbite z piachu
szaleństwem słonecznym krzyczy
p o c o s i ę t a k t r u d z i s z
a to jest mój krzyk
za burzą
przeciw ślepym

w kolorowej nocy

taanis noc była noc
wiatr wełnił włosy traw rękoma po nich wiodąc
za pajęczyną jeszcze księżyc w rudawej tęczy
srebrne słupy na wodach rozstawiał
z błyskliwego chłodu

gdy nic nie nosi korony
królem powietrza cię nazwę
taanis tytanie młodzieńczy

królu z tarczą na tarczy orły są i mirt
gwiazdy w niebiosach siekły twą wielką twarz
a ten księżyc to z niego się śmiałeś
bezbożnymi ramionami trząsałeś witając jego wschód i świt

taanis namioty tak trzepocą jak twój płaszcz

i świecisz torsem przejrzystym oczu jeziorem
a bursztynowymi stopami w mozaikę zenitu bijesz
i szumisz konchami muszlami
w zielonawym złocie konstelacyj nad modrym nocą borem
wywołany czy mocą czyją
czy może myślą allegoryczną fosforyzującą
idziesz na płomień ze srebra księżycowego
taanis taanis taanis taanis
który jesteś który powstajesz
ku słońcom
o królujące powietrze
w srebrze modrości promieniu

szemrzesz urokiem nie z ziemi nie sponad ziemi
jesteś muzyki świetlistej przestrzeń
wypełniona muszlami stopami bursztynowymi

dalej tylko granica
kotary niezapomnienia zwane pajęczyną
podksiężycową
u nocy ogromnego tchnienia
migoce nicość
a jest ona taanis taanis jakie słowa
lazurowych piękności otchłania

liryka

ustawiono ich z młotami po jarach
dionizosów poręb

karczma w topól konarach
okien wodą gore

już płomienie tną ciemności wstęgę
postój nocny wojska na pożaru tle
przy doboszach szczenię biega bure maleńkie
o mój rozmarynie rozwijaj się
o mój rozmarynie rozwijaj się
pod księżycem twardym
na tej ziemi czarnej
źle och jak źle

czy wiecie wy z jarów brązowi
wy w blasku pożogi wojacy
razem chyba młot upadnie jutrzeńka
w głos cierpliwy sitowia

tam utopiona panienska
zaświadczy
smutna to powieść

dom świętego kazimierza

spokojnie miękko świeci chwila bez godziny
twarz opada nad książką rosa może granat
widzę zawsze samotny łuskę wód w złocie gliny
bór iskrzy się sosnami patrz gwiazda źródłana
gwiazda źródłana innych

o wszystkie mosty paryża serce się tłukło i tłukło
brooklyn przydeptał ręce spłynęły pasma krwi
notre-dame we snach dygotała zbliżała twarz wypukłą
krzyknąć polska zbudzić się powieki smutne odwinąć
mógł sen lat wielu minąć ten także musi minąć
zamknięte drzwi
drzwi

poranek płoty naprzeciw szyn kolejowych płatowisko
dzwon gasnący z kościoła wśród nawalnicy drzew
zakonnicy śpiew
płacz dzieci
chyba już wszystko

nie można chwiać się jak tamta sosna pod gwiazdą

palce na piórze zwinięte cierpko cierpiąco
grają niby na flecie naszą syberię nasz dom
gonią przed oczy śniadą pól naszych gorącość

kraju bliski tak bliski że całujesz
setką ludzi ty chodzisz od skroni do skroni
bocianich gniazd żałujesz
i chleba kruszyny nie ronisz
kraju

fabryki ciepło ryczą do pracy łzę płoszą zaranną
nie można chwiać się jak sosna pod gwiazdą źródłaną

naród czeka i nie wie

stoi w adama głosie
sypia w juliusza śpiewie

przerwa przeczuwa finał
ubogim karawanem
za miasto do montmorency
wsuwa się trumna w ulicy cień od liści pstry
w deskach czemu nie są z sosny
palec srebrnym pierścionkiem chudy i żaloszny
uderza w sęki na wybojach
jedyna zbroja

a miasto jeszcze mosty tętnią
przecucie chłodne jak dół wskazuje dłonią tę drogę
na wspólnej bratniej mogile wieńców nie będzie nie zwiędną
z bogiem prochu wielkości z bogiem

południe przechodzi tędy śpieszy się na zachód
zapominajcie okna o kadzidlany zapachu
on jest wszystkim i niczym trzepocze lekki gołąb
stąpa ciężko po ziemi przeobrażalny jak blask
cięży progom zydłom stołom

on gdy szyby tej celi zasłania na płask
wielkie oblicze
wierszom daje imiona z kształtu trudu wyliczeń
smugami tęczowymi wiją się zwitki papieru
z niebieska smutne łaskawe lecz gorące
parzą i palą czoło jak bryzgi eteru

wychodzą niespodziewane strofy
wołają podnosząc dłonie
chaosu dosyć
linia koło koniec
zrywają się
pamiętasz konie

na antycznym łuku wspinające się prychające brązem
spadają
milczy bruk
także bez wieńców i wstąg
leżą na kamieniach w krąg
gruzy piorunami pobite
myśli ładu i spękanych rąk
korabiami na falach błękitnych kartek
jakże daleko stąd
jak daleko od lat 80-tych
są źrenice na paryż otwarte

bywa że pośród czadu czarnych lokomotyw
gdy ludzie chcą ułożyć linię szyn bardzo prosto
serafin schodzi z chmury z matowej pozłoty
pomagać dłoniom pierwszym aniołowym siostrom
pochyla się i blaknie to woła to i mus
a gdy prostował się nad stalą
rósł
kolorem się zapalał

pisząc na stołku w słońcu które ciosa izbę
ustaną palce także siostry serafinów
palce rozprute marzeniem ociekające przez liczbę
ku dołom rozkopanym ku rudawym glinom
linią inną

ach patrz duch młot upuścił na szyny i szpały
duch w skrzydłach jęczy z nagła taje w atmosferze
przy dzwonie rękopisy polską obsiewały
kto anioła wyzwolił z obłoku sam nie żył

spokojnie miękko świeci chwila bez godziny
ostrzą się na kamieniu zórz lotki jaskółkom
bramo przytułku okna przytułku
tej nocy łuski sekwany zabrząkną
norwid
brzęk wszerek niemieckiej krainy do wisły doleci
a tam struny w fortepianach pękną

hildur baldur i czas

1. wstęp

w pomieszaniu wspomnień jedna druga twarz
a tak równoległe jak wiosenne skiby
jak bierwiona tratw

spod powiek ciepłej konchy
wyłuskam zblakłe lata
umiem to ja w gaśnieniu uwierzyć skłonny
kochanek triumfalnego świata

2. poznanie

baldur zamykał oczy ciemne
bolało go
blask ulatywał całą noc z arkusza
heksametr maszyn drukarskich także nie mniej
męczył ogłuszał

kończy się rok śnieżycą
srebra w zaułki nawiał
tajemniczo
srebro jak biały safian

późno już hildur szedł korytarzem
on — brzask spędzający ómy gwiazd
po prostu stanął z lewą nogą ugiętą
wszyscy chłopcy tak stoją gdy nie ma powodu do marzeń

popatrz baldurze
papier jak flaga zatrzepotał w promieniu łask
zaczynając długie święto

3. rok pierwszy

pacholę jasnowłose pachnie słodyczą pasiek
szerokie w bark wiązaniu a wiotkie bardzo w pasie
goni od czaru do czaru zawzięcie

mrok ciężkich nocy rudział
kwiaty strzelały na cierniach
obaj zapominając o ludziach
widzieli cień berła
szczęście

styczeń luty miesiące mitów
ciało poznaje dobre uściski
na gołedzi też ciało ikar tu spadł z zenitu
a choinka ciągle jeszcze śni się błyska
szczęściem

w marcu wino dni kołysało szepcząc
hildur tańczył z cygańskim bębenkiem
w rytmie wtórował sobie chcąc nie chcąc
nucił piosenki
szczęścia

cała wiosna kwieciste burze
bzy konwalie narcyzy róże
korowodami wonnymi zbiegają ku temu
który je urzekł
szczęściem

czerwiec lipiec i sierpień ciągną słoneczną strunę
przed nagimi rozlewają nurt rzeki
więc łodzie świętojańskie upalne muzyki fruną
i wilgotny urok z łożin
późna noc ja wiem na czarne brzegi
szczęście zanoszą

wrzesień pogoda stojąca woda
złocista woda stawu
włosów hildura świeci hełm
i w mieście
po kolumnach po liniach architrawów
schodzi radosne spojrzenie szept
szczęście

jesień to dziwna pora bez niebios kobaltu
usmutnia ogrody deszczów bulgot
są mokre a pełne pomarłych łodyg
pierwszych cieniów pierścieniem staje się myśli kółko
ale szybko otrząsa się baldur
jest szczęście
szczęście młodych

znowu zima zawiesza lampy nad śmiechem
o kóżby tam patrzył na godzin połamanych stos
hildur i baldur na wszystko odpowiadają w głos
szczęście ono zawsze było lotne i lekkie
jak jasny włos

4. skrót innych lat

1932

chwiały się nocne ballady zorzą nakryte modrą
jaśniało zawsze jaśniało u łoża tkanin i kurtyn
nawet wrogowie palili zwycięzcom ambre bursztyn
bo antyk wskrzesł pierś płaska włosy ze złota biodro

1933

już nie ma takich wydarzeń które nie kipią weselem
od srebra rosy porannej do srebra zmierzchu jest chmielnie
księżycze jazdy zieleń śnieżyce gwiazdy zieleń
orszak wierszy wysławia pełnego szalu pełnię

1934

hildur mężnieje tańcząc po zimie jesieni wiośnie
niestety w ramion układach ostrzejszy rysuje się kontur
zabręknął kosą starzec tak przypomina co rośnie
nachyla usta czy liście do ciemnych wód acherontu

5. wszystko przemija

skrzydła w niebie furkoczą głucho
ikar to ikar opuszcza Dedala
piorunów starca szkarłatna fala
uderzy w puchar

pozbawiona kulis przepychu
ziemia stromo się piętrzy
już wielkie schody wiodą pod chmur dno
ptaki padają na marmur cicho
szczęście osłabia
ptaki mrą

a starzec za tymi dwoma rok po roku zatapia
jak sine kry
kogut zapał
kosa się skrzy

baldurze wyżej ty czujesz nie ma powrotu
och idzie kosę odrzucił a ujął śpiewny łuk
to znaczy śmierci nie chce tylko go strąci grotem
abyście razem nie doszli do czarnych strug

stopnie z białego kamienia siło przedwieczna pogaś
przecież płonące w słońcu wydają hildura na strzał
groźnego wroga
imię jego nienawiść młodych ciał

przyklęka błyska brodą asyryjską
napina cięciwę
świsnęło

to już to

spada hildur kołuje w otchłani siwej
ugodzony pod serce nisko
a światło pszenicznych włosów jak siostra za nim szło

6. epilog

baldur otworzył oczy rano
pięć lat już temu arkusz bielił się spod pięści
w taki sam świt
gdy cichły czarne maszyny

za wcześnie cię wieńczonym nazwano
jasny jedyny

nie żałuj wstąpiłeś w mit